

Dwaj polscy himalaiści zginęli schodząc z Broad Peak. W Polsce zostały rodziny. Zawsze zostają

Piotr jest tam, w górach

Rozmowa z

OLGA MORAWSKA

założycielką Fundacji Nagle Sami, wdową po himalaiście Piotrze Morawskim

- Wdowa po pilocie powiedziała mi kiedyś, że jej mąż miał dwie miłości: ją i latanie. Wybrał latanie.

- A może latanie wybrało jego? Jeśli ktoś wybrał taką pasję, to może musiało się tak zdarzyć? A jeśli to była jego droga życiowa, która tak się skończyła?

- A może facetów zakręconych ekstremalnymi pasjami - w imię odpowiedzialności za rodzinę - trzeba chociaż próbować ograniczać?

- Nie wiem, czy znajdzie się ktoś na tyle mocny, żeby ograniczyć czyjaś pasję? Pasja nie jest rzeczą, która dzieje się „przy okazji”, to opowieść o czymś, co jest całym życiem. Zabierając lub ograniczając pasję, unieszczęśliwiamy drugą osobę lub niczemu to, kim jest.

- Radziła sobie pani z pasją męża - himalaiści?

- Na szczęście - po blisko czterech latach od śmierci Piotra - już trochę tego nie pamiętam. To jest trudne. W przypadku mojego męża to opowieść o samotności i czekaniu. A ja ani nie jestem cierpliwa ani nie nadaję się do samotności.

- Mąż potrzebował górk jak teno do życia?

- Jeśli jesteśmy w czymś dobru, to chcemy to robić, prawda? Jeśli ktoś pisze - to chce pisać więcej. A jak ktoś kocha góry i odnosi w nich sukcesy, to jest bardzo wciągające - to chce do nich wracać. Mąż był bardzo ambitnym człowiekiem.

- A kiedy był w górach, a pani na niego czekała, to czekaniu towarzyszyły strach?

- Przecież jesteśmy tylko ludźmi! Towarzyszą nam wszystkie ludzkie odczucia, chociaż nie demonizowałabym tego. Człowiek zawsze wierzy w pozytywne zakończenie. Zazwyczaj nie myślimy, że coś złego spotka akurat nas.

- Jeździliście razem w najwyższe góry, mąż próbował zarazić panią swoją pasją?

- Takie wyprawy są bardzo kosztowne i nie mogliśmy sobie na to razem pozwolić. Zawsze pracowałam. Nie było ani za dużo urlopu, ani pieniędzy.

- W jakich okolicznościach dowiedziała się pani o śmierci męża?

- Powiedział mi o tym kolega Piotra, byłam wtedy w pracy.

- Mówi się, że nigdy nie jesteśmy gotowi na wiadomość o śmierci bliskiej osoby.

- Lekarze, psycholodzy pracujący na oddziałach onkolo-



Olga Morawska z Ignacym i Gustawem w Norwegii. - Synowie potrzebują miłości i szczęścia, a nie zrozpaczonej matki.

gicznych z pacjentami chorymi terminalnie podkreślają, że każda śmierć jest nagła. Nawet jeśli ktoś przygotowuje się do niej, to na koniec i tak bliscy są nią porażeni i przerażeni, bo zawsze mają nadzieję, że to jeszcze nie jest ta ostatnia chwila.

- Kiedy poczuła pani potrzebę założenia Fundacji Nagle Sami?

- Idęę wymyśliłam dość szybko, a po dwóch latach, jak już jakoś pobierałam się po śmierci Piotra, zacząłam dostrzegać, że w Polsce nie ma żadnej organizacji zajmującej się pomocą dla osób, która nagle traci kogoś bliskiego. Nie ma nikogo, kto mówiłby o tak dziwnym doświadczeniu. Na początku to poczucie było tragiczne i przerażające. W 2010 roku wydałam książkę „Od początku do końca”, w której opisałam nasze warszawsko-himalajskie życie. Napisałam o śmierci Piotra, o tym, że zostałam wdową i zaczęły do mnie pisać kobiety, które również są wdowami. Szybko przekonałam się, że sama nie dam rady odpisać na wszystkie listy. Przekonałam się, że potrzebna jest zorganizowana pomoc i w 2011 roku zarejestrowałam fundację. Jesteśmy dla ludzi, którzy zostali sami i do tej pory nie mieli miejsca, do którego mogliby przyjść ze swoim żalem i bólem.

- Po śmierci męża wdowy zostają same. Nie mają z kim wyjść na spacer czy chociażby na zakupy.

- Pamiętamy, że bliscy i znajomi mają również swoje życie i obowiązki. Jedni na mój widok dziwili się, że taka młoda i w czerni, a ja już nie chciałam tłumaczyć się z tego, co się stało. Innym razem chciałam rozmawiać, ale już nikt nie chciał mnie słuchać. Bardzo trudno dziś spotkać drugiego człowieka, który będzie potrafił kogoś wy-

słuchać i zrozumieć. Osobie, która straciła kogoś bliskiego - z czasem jest coraz trudniej. Dościera do niej, że już zawsze będzie tak jak jest. Sama myślałam, że skończyło się moje życie i nastanie egzystencja. Rok po śmierci Piotra zostałam zwolniona z pracy. Dziś mam nadzieję, że wyczerpałam limit trudnych doświadczeń. Nasza fundacyjna pomoc jest dla ludzi, którzy przeżyli nagłą stratę. Czekają na nich ludzie z podobnymi doświadczeniami. Tacy rozumieją ciut więcej.

- Działacie wyłącznie w Warszawie?

- Na Żoliborzu prowadzimy grupę wsparcia, udzielamy pomocy prawnej i psychologicznej. Działamy także w Krakowie i przez internet. Mamy nadzieję, że niebawem uda się nam uruchomić telefon wsparcia - rozdaj telefonów zaufania. Walczymy o sponsorów, finansowanie, by jak najszerszej działać.

- Bycie wdową, wdowcem stygmatyzuje? Jest społeczne oczekiwanie kanonu postępowania?

- Zostałam wdową w wieku 33 lat i przekonałam się o tym na własnej skórze. Wydawało mi się, że określenie wdowa nie pasuje do mnie - młodej dziewczyny z małutkami dziećmi. Wydaje mi się, że wobec wdów i wdowców są duże oczekiwania społeczne. Jestem socjologiem i na domowy użytek prowadziłam badania na znajomych, jak oni postrzegają, co powinna robić wdowa, a co rozwódka. Wyobrażenia były kompletnie rozbieżne! Rozwódka powinna ułożyć sobie życie, znaleźć kogoś i pokazać, że sobie radzi, a wdowa już zawsze chodzić na grób męża. Nawet w języku poruszamy się pomiędzy określeniami: wieczna wdowa i wesola wdówka. Wesola wdówka to ta, która zaraz udzieli sobie nowe życie, a

druga do końca życia będzie wspominać męża. A ja jestem pośrodku. Zawsze będę Piotrką pamiętać, bo był ważną osobą w moim życiu i pewnie jest kawalkiem mnie, a z drugiej strony chciałabym kiedyś wieść normalne życie. Natomiast nie chciałabym nigdy mieć łatki wesolej wdówki. To okropna postawa, pokazująca, że właściwie żałoba to nic trudnego. A ona jest bardzo trudnym doświadczeniem. Takim, przez które można nie przejść.

- Znajoma psycholożka tłumaczy, że po to są rytuały pogrzebowe i czas żałoby, żeby oswoić się z tym, co się stało. Kiedy patrzę na niektórych bliskich ofiar katastrofy smoleńskiej, to widzę, że po trzech latach nie wyszli z okresu żałoby.

- Proszę pamiętać, że przeżywanie żałoby przed kamerami i obiektywami fotoreporterów jest trudne. Miałam nadzieję, że ta tragedia uwarzyła społeczeństwo i pozwoli zastanowić się nad cierpieniem rodzin, które zostają. To się nie wydarzyło. Szansa pokazania jak trudnym i tragicznym doświadczeniem jest nagła śmierć bliskiej osoby, została zaprzeczona. Może kiedyś uda się to naprawić i rozmawiać, że to doświadczenie jest często - jak już powiedziałam - nie do przejścia. Ból jest nie do opowiedzenia i nie ma nawet co próbować.

- Kiedy telewizje zaczęły informować o tej ostatniej tragedii w Himalajach coś ścisnęło panią w środku?

- Zawsze w takich sytuacjach myślę o rodzinach, co ich czeka i jak trudno będzie dla nich teraz życie.

- Pani pojechała w Himalaje po śmierci męża?

- Pierwszy raz pojechałam tam dwa tygodnie po jego śmie-

rci, by symbolicznie się z nim pożegnać, a po pół roku pojechałam tam po raz drugi, żeby zbudować Piotrkowi symboliczny grób na Przełęczu Francuzów, to najbliższe miejsce szczytów, w której zginął 8 kwietnia 2009 roku. Ciało Piotra nie było zagubione. Umarł na oczach swojego partnera. Wszyscy wdziedzieli, gdzie on jest, polski lekarz próbował go reanimować. Ale się nie udało.

- Jak zniosły to dzieci?

- Śmierć najbliższej osoby staje się kawalkiem naszego życia, ale nigdy nie ma w nas na nią zgody. Synowie byli mali, mieli dwa i trzy lata. W dzień śmierci Piotra powiedziałam im, że tata umarł, nigdy ich już nie przutul, ale że zawsze będzie z nimi. W to staramy się zawsze wierzyć.

- A kiedy synowie dorosną i będą chcieli wyruszyć w góry?

- To co ja ja zrobić? Kanapki na drogę! W życiu pokazujemy dzieciom różne ścieżki, a one i tak wybiorą swoją drogę. I trzeba im na to pozwolić wierząc, że będzie to dobra droga. A jeśli nawet będzie to droga w górach, to co ja na to poradzę? Wiem, że z pasją się nie wygra.

- Czasami stajemy nad grobami bliskich i mówimy z wyrzutem, że przez pasję nie zobaczają, jak dorastają ich dzieci, jak idą na pierwszą randkę, zakładają rodziny.

- Czasami trzeba wyrzucić swój ból. Kiedy myślę o tym, co się nam zdarzyło, to wiem, że Piotrek stracił z nas najwięcej. Był młody, inteligentny, mądry i utalentowany - świetny naukowiec, trochę przez góry zaprzepaścił karierę. Zrobił doktorat w wieku 28 lat. Dobrze pisał, robił świetne zdjęcia, super się wspinał. Umarł mając 32 lata. Miał jeszcze bardzo dużo pla-

now. Jego spotkała najwyższa kara. My musieliśmy tylko poradzić sobie z cierpieniem.

- Pani książki „Góry na opak, czyli rozmowy o czekaniu” wyniknęły z potrzeby rozmów z osobami, które również straciły bliskich w górach?

- Piszac nie zdawałam sobie sprawy, że to część mojej terapii. Musiałam posłuchać tego, co przeżywały inne osoby, które straciły kogoś w górach albo żyją blisko himalaiistów. Rozmawiałam z ich mamami, żonami, braćmi, synami i były to bardzo ciekawe, ale i męczące doświadczenia. Nie sądziłam, że te spotkania i pisanie książki tak dużo będą mnie kosztowały. Z perspektywy czasu myślę, że ta książka była bardzo potrzebna i cieszę się, że znalazłam w sobie siłę do jej napisania. Uratowałam kilka osób do wspomnienia. A po ostatnich doświadczeniach na Broad Peak ta książka ma wyjątkową wartość - bo to są rozmowy o czekaniu, a czasami można się nie doczekać.

- Uda się pani odczarować wizerunek polskiej wdowy?

- Będę próbować. Kiedy opowiadam o tym np. w telewizji, to część stanie po mojej stronie, a inni zapytają: o czym ona mówi? A ja pokazuję, że przez to można przejść i być dobrym człowiekiem. I że życie jest dobre. Najbardziej zaskakujące z tą żałobą jest to, że jak już się czło- wiek z nią upora, to jest coś dalej, że coś jest za tymi drzwiami, że w ogóle są drzwi, a nie mur. Można się zaprzeć i powiedzieć: już nigdy nie będę szczęśliwa, ale moim zdaniem warto sprawdzić, co jest dalej, bo zazwyczaj coś jest. Pojechałam do Nepalu i usłyszałam tam słowa, które zmieniły moje spojrzenie na świat. Jeden z Gurkhów powiedział: „To, że Piotrek nie żyje, nie jest żadnym powodem do tego, żebyś zamarnowała swoje życie”. To było dla mnie bardzo mocne stwierdzenie, które dało mi kopa we właściwym kierunku. Nie zmaruję życia, kiedy mam dwóch synów potrzebujących miłości i szczęścia, a nie zrozpaczonej matki. Tym bardziej warto o tym mówić i robić fundację, bo u nas w kraju obowiązują trochę zgoda na zmarowanie sobie życia. Jestem sama, nie mówię, że jest mi z tym dobrze, ale to dość ciekawe i u- szlachetniające doświadczenie: zostać wdową, poradzić sobie z tym i znaleźć siły na życie.

- Ale uśmiecha się pani do ludzi?

- A jak pan myśli? (śmiech). Do świata jestem na „tak”. Zawsze walczę i nigdy się nie poddam. **ROZMAWIAŁ ROMAN LAUDAŃSKI** roman.laudanski@mediaregionalne.pl

- Ale uśmiecha się pani do ludzi?

- A jak pan myśli? (śmiech). Do świata jestem na „tak”. Zawsze walczę i nigdy się nie poddam.

ROZMAWIAŁ ROMAN LAUDAŃSKI roman.laudanski@mediaregionalne.pl

forum www.pomorska.pl/forum